Numer zawiera 8 stron

OPŁATA POCZT. UISZCZONA RYCZAŁTEM.

Cena n-ru 15 gr.
W CAŁYM KRAJU

muza X tygodnik ilustrowany

ROK I | WARSZAWA, DNIA 24 PAŹDZIERNIKA 1937 R. | Nr. 20

FILM • TEATR • MUZYKA • TANIEC • RADIO • MALARSTWO • FOTOGRAFIA • SPORT • TURYSTYKA • MODA • KOSMETYKA • ROZRYWKI

LEOPOLD BRODZIŃSKI

WPŁYW „ORLĘCIA" NA REPERTUAR TEATRÓW WARSZAWSKICH

(Z cyklu „Ćwierćwiecze pierwszej sceny polskiej")

Premiera „Orlęcia" spowodowała przełom w życiu teatrów warszawskich ostatnich lat przedwojennych.

Okazało się, że cenzura moskiewska, „miała węch", uważając „Orlę" za sztukę niebezpieczną. Sukces jej był tak zawrotny, że dyr. Kazimierz Zalewski, który, repertuar teatru Małego opierał głównie na sztukach mieszczańskich i salonowych, powiększył zespół i otworzył filię swego teatru przy ul. Bielańskiej pod Nr. 5 (w obecnym gmachu operetki), wznawiając tam „Madame Sans Gêne" — Sardou, aby znów atrakcyjnością czasów napoleońskich ściągnąć tłumy. I ściągnął. Rafaela Bończa w roli tytułowej i Stefan Jarasz jako Napoleon, zbierali huragany oklasków, a teatr „robił kasę".

Tryumfy te przekonały dyrekcję pierwszej sceny polskiej, że widz spragniony jest czegoś innego, niż trójkąty małżeńskie i konflikty erotyczne. Teatr był przecież wtedy nietylko przybytkiem sztuki, był też i jedyną „przemyconą" oazą polskości. Kazimierz Hulewicz, wiceprezes teatrów rządowych rozpoczął wtedy starania o zezwolenie na wystawienie trylogii zygmuntowskiej Rydla, Petersburg okazał się jednak narazie bardzo opornym i sprawa uległa zwłoce. Udało się „ugłaskać" poselstwo niemieckie i wprowadzić na afisz sztukę historyczną Stanisława Kozłowskiego „Jeniec Napoleona", która stała się znów dla publiczności magnesem, będąc zarazem wspaniałym koncertem gry aktorskiej — Marcello, Ludony, Rapackiego, starego Leszczyńskiego, Śliwickiego, Larys-Pawińskiej i młodziutkiej, świeżo pozyskanej z teatru Małego — Szylliżanki. Do roli Napoleona zaangażowano specjalnie z Wilna, nieżyjącego już dziś, Jana Szymańskiego. Publiczność hucznymi oklaskami nagradzała wszystkie apostrofy antyniemieckie, nie przeczuwając, że za półtora roku niektóre z oklaskiwanych powiedzeń, staną się niemal hasłami.

Teatr Rozmaitości znajdował się jednak, niestety, w przededniu kryzysu. Cała Warszawa czekała na uroczysty dzień otwarcia nowej placówki teatralnej — Teatru Polskiego. I przyszedł dzień, w którym tłumy zebrały się w nowym, na ówczesne czasy wspaniałym gmachu teatru przy ulicy Oboźnej. Jakie pobudki, kierowały dyrektorem Szyfmanem, jest w tej chwili obojętne. Bądźmy sprawiedliwi. Potrafił znaleźć ludzi, którzy wielkie kapitały ofiarowali na stworzenie placówki, wówczas tak ważnej. Potrafił swój plan, pozornie szalony, zrealizować. Ściągnął z Krakowa szereg młodych sił artystycznych i siły te w takim przedstawił świetle, że stały się odrazu popularne i cenione.

Inauguracyjny „Irydion" Krasińskiego stał się w roku 1913 świętem sceny polskiej — w dziele poety dopatrywano się proroczych aluzji politycznych. Nowoczesność urządzeń technicznych (scena obrotowa), przepych dekoracji i kostiumów stał się dla teatrów rządowych bodźcem do rywalizacji. W „Irydionie" zabłysł talent Józefa Węgrzyna, przypomniał się znany z teatru: M. Gawalewicza — Edmund Wayche, przedwcześnie zmarły aktor o dużym talencie i indywidualności, Laura Dunikówna, Stanisława Wysocka...

W Rozmaitościach tymczasem królowały tylko „Orlę" i „Jeniec Napoleona" repertuar tłumaczonych „piéces" bulwarowych przechodził natomiast bez zainteresowania. Tylko koneserów nęciła melodramatyczna „Jej córka" z nielada sensacją: Kazimierz Kamiński grał z powracającą na scenę po kilkuletniej przerwie, trochę już zapomianą. Marią Federowiczową. Ta para i Szylliżanka z Brydzińskim, dawali koncert gry w wielkim stylu. Ale czemże to było wobec... „Krakowiaków i górali", których kolorowość pełna niedomówień wieczna aktualność, humor i sentyment, podane w formie na owe czasy olśniewającej, porwały Warszawę ze sceny teatru Polskiego.

Na tym się narazie skończyło. Teatr Polski wszedł w szarzyznę repertuarową i przestał być chwilowo niebezpiecznym dla Rozmaitości rywalem. Przyzwyczajano się do tego, że Warszawa ma dwie sceny reprezentacyjne. W sezonie letnim doskonała, gra aktorów w wznowionych „Gęsiach i gąskach" Bałuckiego, oraz występy Pichorówny i Szylliżanki w „Dobrej dziewczynie" Lopeza, interesowały nie mniej niż kapiskiego, a przepychem reinhardowskim szekspirowskiej „Burzy", z efektem sceny obrotowej w ruchu, znów zaimponowano Warszawie.

Tymczasem pierwsza scena wiodła żywot dość suchotniczy w Ogrodzie Saskim, a jedynie wznowiony na scenie teatru Wielkiego „Car samozwaniec" z Solskim w roli głównej, rozpraszał tę chwilową drzemkę. Genialna kreacja talna gra Przybyłko, Duninówny i Junoszy Stępowskiego w „Anatolu" na scenie teatru Polskiego.

Ale Hulewicz nie spał. Za wszelką cenę chciał by stare Rozmaitości były nadal pierwszą sceną polską i szukał sposobu, aby zainteresowanie Warszawy nadal palmę pierwszeństwa oddawało tyloma tradycjami obarczonej ruderze na ul. Wierzbowej. Przeforsował u władz sprawę przebudowy sceny, a na kierownika Rozmaitości powołał z Krakowa Ludwika Solskiego.

Okoliczności szły jednak na rękę Szyfmanowi. Przebudowa wlokła się, a w teatrze Polskim uderzono znów w nutę narodową pięknym naprawdę przedstawieniem „Wąsów i peruki" Korzeniowskiego, Solskiego miała swoją atrakcyjność, a w rolach kobiecych obok pięknej i wyniosłej Larys-Pawińskiej w roli Carycy Maryny, zalśniła porywającym temperamentem 16-letnia wówczas Pola Negri, znana już w Warszawie z letniego sezonu z pantonimy „Sumurum". Gdy jednak w drugie święto Bożego Narodzenia otwarto przerobione i unowocześnione stare Rozmaitości Fredrowską „Zemstą', splendor pierwszej sceny zabłysnął okazale. Przedstawienie to było nowym ewenementem narodowym, a w wygłoszonym na inaugurację przemówieniu przemycał Adam Grzymała Siedlecki niejedną dla cenzury niedostrzegalną prawdę, entuzjastycznie przyjętą przez widzów.



HELENA GROSSÓWNA

utalentowana aktorka filmowa i teatralna gra rolę tytułową w filmie „KRÓLOWA PRZEDMIEŚCIA"

reżyseria: E. BODO — fot. „EKSPLOFILM"

KAROL FORD.

UWAGI GORZKIE, A POTRZEBNE

W żadnej chyba innej dziedzinie nie zdołamy zauważyć tyle przesadzonych hymnów i tyle niesprawiedliwych, a uszczypliwych uwag na łamach prasy, co pod adresem występów zagranicznych naszych artystów. Informacje lwiej części naszych pism nie są bynajmniej oparte na faktach prawdziwych, lecz prawie wyłącznie uzależnione są od siły reklamowej danych aktorów. Ileż razy zdarzyło się już, że występy niektórych naszych tancerek w trzeciorzędnych rewiach przy kinie urastały na łamach polskich pism do rozmiarów szalonych triumfów na „reprezentacyjnej scenie stolicy zaprzyjaźnionego mocarstwa" (exemplum: występy Lody Halamy w Japonii). Częstokroć także zdarza się, że domniemane sukcesy naszych gwiazdorów, w gruncie rzeczy okazywały się kompletnym fiaskiem (exemplum: niektóre występy baletu Parnella).

Nie piszemy bynajmniej niniejszych uwag, aby komukolwiek zrobić przykrość. Pragniemy jedynie zwrócić uwagę na niestosowność tych metod, które są równie nieuczciwe, jak i szkodliwe, a nawet w wielu wypadkach — groteskowe. Szczytem chyba błazenady w tej dziedzinie było urządzenie w jednym ze sklepów przy ul. Mazowieckiej „wystawy zdjęć z podróży Wandy Wermińskiej po Egipcie"!! Albo czyż nie były wręcz śmieszne wywiady, udzielone w swoim czasie przez Ordonównę na temat jej rzekomego wyjazdu do Hollywood? A sławetne występy tej aktorki w Wiedniu? Prasa niemal z entuzjazmem pisała o propagandowym znaczeniu tych występów, które jednak w rzeczywistości odbywały się... przy stolikach w trzeciorzędnym lokalu!

Możnaby mnożyć bez liku wypadki zupełnie bezsensownego rozdmuchiwania faktów więcej niż wątpliwych. Co kilka tygodni w pismach filmowych, jak i innych, ukazują się artykuły o rzekomych wyjazdach aktorów i reżyserów polskich do Hollywood. Wyprawiano już za ocean nie jednego... A tymczasem co? Realne i konkretne propozycje otrzymał zdaje się, tylko Witold Zacharewicz. Ale o tym właśnie nikt nie pisze! Już tak to u nas wygląda, że prasa woli pisać o rzeczach wątpliwych, niż o faktach. Pisze się całe kolumny o wątpliwych sukcesach Lody Halamy w Tokio (w tamtejszym „Mignonie" czy kinie „Praga") lub Jadwigi Andrzejewskiej — w francuskim filmie (krytyka była naogół dość powściągliwa), a pomija się prawie zupełnym milczeniem istotne sukcesy Jerzego Gardy w operach italskich (wyjątek w tym wypadku stanowi koncern I. K. C., który stale relacjonuje dodatnie pozycje kariery tego śpiewaka). Pisze się o tym, że Wiedeń szaleje za Kiepurą i obejść się bez niego nie może (tymczasem Opera Wiedeńska ogłosiła listę zespołu na sezon bieżący: figuruje na niej aż czternastu tenorów, ale Kiepury ani śladu!) a równocześnie bojkotuje się sukcesy jego brata Władysława Ladisa w Operze Hamburskiej.

Iluż mamy polskich aktorów i śpiewaków, którzy mogą występować na scenach zagranicznych w obcym języku, a nie tylko wśród Polonii zagranicznej? Dlaczego więc spotyka ich krzywda? Nasza prasa, skłonna do dwukierunkowej przesady, często wpada z jednej ostateczności w drugą, lekceważąc niejednokrotnie rzeczywiste zasługi propagandowe własnych artystów.

Bardzo charakterystyczny i nader przykry wypadek zdarzył się niedawno świetnemu i sympatycznemu artyście operetkowemu Wojciechowi Ruszkowskiemu, którego gościnne występy na scenach austriackich cieszą się zawsze wielkim uznaniem i powodzeniem. W czasie festivalu salzburskiego Ruszkowsk wystąpił w roli księcia Daniły w „Wesołej Wdówce", wystawionej w teatrze miejskim. Ruszkowski uzyskał niezwykle pochlebne recenzje, co jest tym godniejsze uwagi, że grał w otoczeniu aktorów o ustalonej już w Austrii popularności. Zdawałoby się, że wszystko jest bardzo piękne, a każdy z nas powinien się cieszyć, że występ polskiego artysty przyniósł zaszczyt i jemu, i polskiemu aktorstwu. Nic podobnego jednak! Korzystając z niezręcznie zredagowanej wzmianki reklamowej Teatru Letniego, organ „mędrców Sjonu" — krótko mówiąc „Wiadomości Literackie", zamieszcza notatkę, godzącą nie w autora głupkowatego komunikatu, ale w Bogu ducha winnego Ruszkowskiego. Jakaż jest jego wina?... Że ośmielił się wystąpić w Salzburgu podczas festivalu i że w dodatku osiągnął powodzenie?

Ależ panowie, czy każdy patriota nie powinien się cieszyć z sukcesu polskich artystów zagranicą. A jeżeli się wam nie podobają komunikaty teatralne, walcie kogo tylko chcecie, ale zostawcie w spokoju artystów, którzy absolutnie nie mają wpływu na to, co jakiś urzędnik o nich napisze. A krzywdzić ich naprawdę niema się powodu. Zwłaszcza w wyżej opisanym wypadku!

Z cyklu: „PODCIĘTE SKRZYDŁA"

HALINA BRUCZÓWNA

Halina Bruczówna urodziła się, żeby zostać... gwiazdą. Wielką, strojną, błyszczącą. Wysoka, smukła, o sylwetce tak nowoczesnej, że wtedy aż za oryginalnej, o przedziwnych zielonych oczach, twarzy nerwowej, niebanalnej — zwróciła na siebie uwagę już jako absolwentka Klasy Dramatycznej Tow. Muzycznego. Popis uczelni wykazał prawdziwy talent młodej aktoreczki. Engagement przyszło bez trudu: nowopowstały teatr Nowoczesny (dziś mieszczący się w lokalu, gdzie kino „Rialto") szukał właśnie talentów. Nie „nowych twarzy", jak to się zdarza obecnie, dla dogodzenia rozkapryszonym i nudzącym się snobom, ale — talentu.

W rok po ukończeniu szkoły kreowała Bruczówna główną rolę w nieistniejącym już teatrze ogródkowym „Bagatela" (gdzie na lato rozgościł się właśnie ów teatr Nowoczesny) w rewii „W pogoni za gwiazdą". Był to już sukces. Pierwsze błyski popularności.

A potym, podczas wojny światowej i zaraz po jej ukończeniu, zajmowała już pozycję czołową w teatrze Letnim, gdzie wówczas grano nietylko lekkie komedie i farsy, ale i t. zw. melodramaty. Bruczówna była w dobrym towarzystwie: Honorata Leszczyńska, Gryficz-Mielewska, Renardówna, Gasiński, Fertner, Grabowski, Trapszo, Różycki...

Po „Dwuch malcach", „Roznosicielce chleba", „Serwisie galowym", „Królu", „Nie śmiem", „Fruwającej dziewicy", czy „Teodorze i spółce", z dnia na dzień, stawała się coraz dojrzalszą aktorką, coraz popularniejszą w Warszawie.

W tym samym czasie wytwórnia „Sfinks" lansowała Bruczównę jako gwiazdę ekranu: „Studenci", „Tajemnica Alei Róż", „Apaszka", „Sprawa Bartieniewa" i t. d. uczyniły Bruczównę tak popularną, jak potym Smosarską, następczynię przedwcześnie zgasłej gwiazdy.

Bruczówna miała w sobie ducha niepokoju. Ciągle coś projektowała, coś roiła, musiała ciągle z czymś i o coś walczyć. Kształciła się w śpiewie u prof. Dobrowolskiej i marzyła o karierze divy operetkowej. Chociaż była już gwiazdą w teatrze i w kinie, zapragnęła śpiewać. Głos jej nie był nadzwyczajny, ale ambicją, inteligencją, pracowitością i wytrwaniem można przecież zdziałać wiele! Śliwiński namyślał się właśnie nad obsadą nowej operetki „Róża Stambułu" (Messalka bawiła wówczas w Rosji). Wybór padł na Bruczównę. Ale z jednej strony powrót Messalówny, z drugiej konflikty osobistego życia, które Bruczówna potrafiła zawsze sama tak skomplikować aby były jak najtrudniejsze, oderwały młodą i pełną rozmachu życiowego aktorkę od bliskiej realizacji projektów operetkowych.

Nagła decyzja i oto sensacja dla Warszawy: Bruczówna wyjeżdża do Ameryki. Poco? Dlaczego? Dokładnie nikt nie wiedział... Łączono to ze stratą ukochanego człowieka. Wkrótce słuch o niej zaginął. Warszawa umie zapominać, jak żadne inne miasto na świecie. Ta, która przed paru miesiącami każdym swoim nowym strojem czy kapeluszem robiła furorę w stolicy, szybko została wykreślona z serc i pamięci niewdzięcznych melomanów. A tym czasem Bruczówna z właściwą sobie energią i zawziętością opanowała język angielski, dokształciła się w śpiewie i została zaangażowana przez wielką objazdową imprezę z Brooklynu do tytułowej roli w operetce Gilberta „Katia tancerka". I tam odniosła sukces. Nagle pewne sprawy osobistej natury znów skłoniły ją do fatalnego postanowienia: zerwać wszystko i wyjechać do Europy. Przybyła do Mediolanu, ale tam — mimo trudnych konfliktów — nie traciła czasu, studiując nadal sztukę śpiewaczą. Teren amerykański był jednak dla niej stracony. Zerwanie kontraktu zagranicą, a zwłaszcza w stosunkach amerykańskich, równa się często zupełnej dyskwalifikacji.

Próbowała potym Bruczówna zdobyć sobie pozycję w Londynie. Była już nawet blisko celu. Szło tylko o rekomendację jednego z wybitnych ludzi teatru naszej stolicy. Niżej podpisany sam słyszał w roku 1929-ym z ust Bruczówny pełne goryczy słowa:

— Dyrektor X napisał do Shaw'a, że jako jednostka artystycznia nie przedstawiam żadnej wartości...

W r. 1930-ym odbyła Bruczówna tournée koncertowe po Południowej Ameryce, a potym wróciła do Paryża i obok Gorczyńskiej, Junoszy, Stępowskiego, Solskiego i Sawana wzięła udział w pierwszym dźwiękowcu polskim nakręconym przez Paramount „Tajemnica lekarza".

Przygodnie też wystąpiła, raz jeden tylko, w istniejącym podówczas teatrze Polskim w Paryżu, w komedii Kiedrzyńskiego „Wino, kobieta i dancing", grając obok Zdzitowieckiego, Rychłowskiego, T. Żeromskiego i W. Michałowskiej. Potym znów wyjechała do Ameryki. Wyszła tam zamąż za hr. Bnińskiego i stworzyła agencję teatralno-koncertową, którą prowadziła z wielkim rozmachem. Ona to urządzała przed kilku laty tournée Poli Negri po wielkich music-hallach Stanów Zjednoczonych. Marzyła o stworzeniu prawdziwie polskiego baletu propagandowego w Ameryce. W tym celu bawiła półtora roku temu w Warszawie, pertraktując z szeregiem sił kierowniczych i wykonawczych. Rzucano jej jednak pod nogi niejedną kłodę. Impreza odkładała się jakoś, a prawdopodobnie choroba (rak piersi) paraliżowała znaną energię i nieustępliwość Bruczówny. Zdążyła tylko sfinalizować engagement Tosi Nowickiej do Hollywood.

Mało kto nawet z młodego pokolenia świata artystycznego Warszawy zdaje sobie sprawę z tego, czym dla filmu polskiego była Bruczówna przed 17-tu laty... Była gwarancją sukcesu, ośrodkiem zainteresowania. Zaprzyjaźniona osobiście z Polą Negri, zawsze była z nią w kontakcie od pierwszych niemal chwil kariery, którą równocześnie rozpoczynały, choć Pola o kilka lat młodsza na terenie zagranicznym szybko prześcignęła swą przyjaciółkę, osiągając szczyty kariery, podczas gdy Bruczówna w wiecznej walce przechodziła jakby obok wszystkich świetności, które widać nie były jej przez los sądzone.

L. Brodziński

Ze wspomnień o szkołach dramatycznych i ich wychowankach

Szkoła Tow. Muzycznego, niestety, już nie istnieje. Przez długie lata była ona w stolicy jedyną uczelnią gry aktorskiej. Wyszły z niej wtedy: Przybyłko, Fedorowiczowa, Mrozowska, Arkawin... Potym powstała Akademia Dramatyczna (Szkoła Aplikacyjna) przy teatrach rządowych i kursy Hryniewieckiej, ale t. zw. klasa dramatyczna nie rezygnowała, dając w dalszym ciągu polskiej scenie aktorów tej miary, co Mila Kamińska, Jadwiga Sachnowska (świetna charakterystyczna sceny poznańskiej), Irena Renardówna, Aldona Jasińska, Bogusław Samborski, Józef Maliszewski, Helena Buczyńska, Halina Kacicka-Gallowa...

Gallowa jest dzisiaj wybitną siłą teatrów prowincjonalnych. Buczyńska, w r. 1914-ym zapowiadała się po fenomenalnym popisie (Szalona Julka i Jewdocha) jako następczyni Siemaszkowej. Pawlikowski olśniony jej talentem, chciał ją angażować do Krakowa, ale wojna stanęła temu na przeszkodzie.

Renardówna — ulubienica Krakowa, a po tym Warszawy, zeszła ze sceny po wojnie w najpiękniejszym rozkwicie swego talentu. Mila Kamińska jest nadal jedną z wybitniejszych „causerek" teatrów warszawskich.

Aldona Jasińska (Kończycowa) jest wybitną aktorką dramatyczno-charakterystyczną. Niegdyś, jako Jewdocha, Belladonna i królowa Bona pięknie zapisała się w pamiętniku sceny warszawskiej i poznańskiej. W latach ostatnich stworzyła dwie kreacje wysokiej wartości artystycznej: uroczą w swym uśmiechu Babcię w komedii Nowaczyńskiego „O żonach złych i dobrych" (teatr Narodowy) oraz pełną grozy tragicznej Rudomską w „Ponad śnieg" (teatr Kameralny). Ta zbyt rzadko widziana na scenie, utalentowana i wysoce kulturalna artystka dała się poznać ostatnio kinomanom w kapitalnej sylwetce charakterystycznej w filmie „Ty co w Ostrej świecisz Bramie" (scena na jarmarku).



Aldona Jasińska

Władze niepodległego państwa polskiego, tworząc Państwową Szkołę Dramatyczną, zlikwidowały popularną niegdyś klasę dramatyczną, ale pamięć o zasługach kulturalnych tej uczelni przetrwa zapewne długo.

Ostatnimi wykładowcami w niej byli: Roland, Frenkiel, Pomian, Massonius.

Elbe.

BLASKI i NIEDOLE

„Mówią o Miss Vane, że sławna i znana! Yes Sir!
Lecz przez stare ciotki nie bardzo lubiana! No Sir!
Miss Vane — to ja — chytra jak lis i cwana! Yes Sir!
Przez starych nienawidzona, przez młodych uwielbiana! Yes Sir!"

Wieczór w wieczór w jednym z teatrów londyńskich śpiewa tę piosenkę Gloria Vane, królowa sceny, bożyszcze londyńczyków. Gloria Vane — uwielbiana przez młodzież, pogardzana przez purytanów. Aż pewnego wieczoru podczas przedstawienia wybucha awantura, spowodowana wystąpieniem purytanów. Kres całej awanturze kładzie wytworny Sir Albert Finsbury, kochający Glorię i oddany jej przyjaciel. W dalszym ciągu święci swe tryumfy Gloria Vane, nadal oczarowywuje wszystkich swoim śpiewem, nadal jest niekorowaną królową sceny.

W tym jak grom z nieba obiega Londyn wieść, że Gloria Vane bożyszcze młodzieży, stoi pod zarzutem dokonania fałszerstwa czeku. Wiadomość ta przygnębiła wszystkich za wyjątkiem purytanów, którzy na każdym kroku zwalczali Glorię. Gloria przyznaje się do winy, przyjmuje na siebie karę za czyn, którego się wcale nie dopuściła, za czyn popełniony przez Sir Alberta, jej ukochanego, którego Gloria za wszelką cenę chce uratować od hańby. Kara jest sroga. Sąd skazuje ją na siedem lat deportacji do piekielnego więzienia Paramatta w Australii.

Gloria Vane, żyjąca dotąd bez trosk, uwielbiana i przyzwyczajona do przyjmowania hołdów, poznaje w więzieniu nędzę deportowanych. Wszyscy ją opuścili. Wszyscy o niej zapomnieli. Zapomniał o niej również Albert, którego winę wzięła na siebie, a który dla zdobycia majątku wyjechał do Australii, gdzie szturmem zdobył sobie pozycję godną syna lorda. Pozostawia ją własnemu jej losowi. Natomiast młody szlachetny osadnik poczuł do niej silne uczucie. Wybawia ją z więzienia, by pojąć za żonę. Gloria nie może jednak zapomnieć człowieka, którego pokochała całym impulsem swego serca, gdy żyła jeszcz[illegible] w innych warunkach. Odchodzi [illegible]o wybawcy, by odnaleźć swego [illegible]ochanego, w którego wciąż wierzy. Przekonuje się jednak, że nie jest on godzien jej miłości i poświęcenia.

Z całym wyczuciem odtwarza rolę Glorii Vane w filmie „Paramatta" utalentowana śpiewaczka Zarah Leander, wschodząca gwiazda ekranu. Znana powszechnie zagranicą, niewątpliwie stanie się również ulubienicą polskiej publiczności kinowej.

Obok Zarah Leander występują w tym niecodziennej treści filmie, znani aktorzy jak: Willy Birgel jako Sir Albert Finsbury oraz Viktor Staal jako osadnik Henry.

Melodyjne piosenki, którymi popisuje się Zarah Leander, skomponował Ralph Benatzky. Reżyserem filmu jest Detlef Sierck.





Barszczewska, Andrzejewska, Wiszniewska i Jaraczówna w filmie p. t. „Dziewczęta z Nowolipek". Fot. Parlofilm.

KINO i BOŻEK

(wywiad z dyr. Henrykiem Zagrodzińskim)

Wielki, monumentalny wprost hall o ścianach wyłożonych marmurem, na którym błyszczą oprawne w nikiel tafle szklane. Na obydwu kondygnacjach (hall jest dwu piętrowy) gwarno. Śród tych kilkudziesięciu ludzi reprezentujących, sądząc ze strojów lub zachowania, przedstawicieli różnych zawodów i dziedzin, nikt nie stoi bezczynnie. Cała rzesza rzemieślników wszystkich specjalności, sztab architektów, specc od reklamy technicznej, mechanicy, przedsiębiorcy, dostawcy, kobiety, dziewczęta — wszyscy ogarnięci są gorączką pracy. Przy poszczególnych grupach, czy pojedyńczych osobach, co chwila zatrzymuje się postać w białym kitlu. Gdzie zjawi się, tam wzrasta tempo roboty, zmienia się często to czy owo w wykonywanej pracy. Ruchliwy ten punkt — widać to odrazu — jest ośrodkiem tej „masowej sceny", jest jej rdzeniem i zarazem reżyserem. Pan Henryk Zagrodziński (znaczy fachowiec kinowy i filmowy) rozdwaja się, roztraja... Rozmawia się też z nim prawie, że w przebiegu z jednego końca hall'u w drugi, lub między rzędami foteli na widowni.

— Jaki pan ma plan repertuarowy? „Żelazny", czy też o programie składanym przypadkowo z filmów różnego typu?

— Pragnąłbym iść po linii filmów pogodnych i ciepłych, by widz mógł tu zapomnieć o szarzyźnie codziennego życia...

— A więc komedia i wodewil?...

— Tak, wszystko bardzo lekkie. Będę wystrzegać się dramatów i tragedii.

— Jakie więc obrazy znajdą się na pańskim ekranie?

— Przede wszystkim amerykańskie, a następnie — francuskie i austriackie. Zależy to jednak — jak Pan wie — od czynników rządowych. Mam jednak nadzieję, że...

— ...pokona się trudności. A jak z obrazami produkcji polskiej?

— Biorę je w rachubę na równi z filmami pochodzenia zagranicznego. Wchodzą w ramy mego planu.

— O tytuły obrazów, jakie ukażą się (poza inauguracyjną premierą), nie będą pana pytać. Domyślam się, że ze względów na konkurencję jest to temat „o którym się nie mówi". Przynajmniej narazie, co — Dyrektorze?

Miły uśmiech na ustach p. Zagrodzińskiego zorientował mnie, że postąpiłem właściwie. Palladium — mityczny grecki bożek, strzeże dobrze tajemnic swej pięknej świątyni.

*

Kiedy opuszczałem wspaniały gmach „Palladium", uczułem w sobie pewną dumę, a może objaw snobizmu — jest przecież czym poszczycić się przed cudzoziemcami, szczególnie tymi, co znają kina Londynu, Paryża, Berlina i Nowego Yorku.

W. B.-Tom.

NIE DLA KOBIET

Musiałem użyć tego odstręczającego nagłówka, aby uzyskać pewność, że płeć piękna zainteresuje się tym artykułem, a to wszak jest moim celem. Niechże więc panie wybaczą mi łaskawie podstęp, do użycia którego pchnęła mnie troska o mężczyzn.

Kobiety bardzo często mówią, że mężczyźni są jak dzieci, jak miłe, ale niesforne dzieci, którymi należy się opiekować. I opiekują się nimi kobiety bardzo, zwykle nawet o wiele zabardzo ale niestety nie pamiętają o tym, że dbać należy nie tylko o to naprzykład: czy ma zbyt pełny portfel, nie zanadto wypycha kieszenie ale także o to, czy te kieszenie znajdują się w odpowiednio eleganckim, doskonale harmonizującym z sylwetką danego mężczyzny, z porą dnia i różnymi innymi okolicznościami garniturze.

Nie jedna kobieta wzruszy ramionami: my się same troszczymy o to, aby być dobrze ubranymi niech więc i mężczyźni sami o siebie dbają! Słusznie. Ale niestety duże dzieci albo się na tym nie znają, albo nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do ubrania i dlatego ten artykuł stanowić ma apel do naszych drogich żon i przyjaciółek, aby zainteresowały się, co powinien nosić ich towarzysz życia.

Jesteśmy wszak w przededniu karnawału, a w pełni sezonu jesiennego; fivocloc bridge, przyjęcia. Tysiące kobiet spędza wiele godzin dziennie na studiowaniu żurnalu. Czy pomyślały one jednak, chociaż przez chwilę, jak będzie ubrany ich partner? Dobrze ubrany mężczyzna jest zawsze tłem, na którym o wiele bardziej uwydatnia się elegancja kobiety, a ginie ewentualny defekt jej stroju.

Kobieta, która chce, aby jej towarzysz był dobrze ubrany musi przede wszystkim przestudiować historię dramatu klasycznego, aby się zapoznać z jednością czasu, miejsca, akcji. Albowiem czas, miejsce i akcja są czynnikami, które decydują przy wyborze garnituru. Wszyscy wiedzą, że nie należy iść na plażę w cylindrze, na pogrzeb w białych spodniach, a bez krawata na dancing. Ale nie wszyscy wiedzą o tym, że są tego rodzaju drobnostki, które stanowią „shocking", a na które ogromna większość mężczyzn nie zwraca uwagi.

Obecnie żyjemy pod znakiem sportu, który zstąpił z dawnych niedosiężnych wyżyn do szerokiego ogółu. Łyżwiarstwo, bobsleigh, narty, boks, tenis, sa już zupełnie u nas spopularyzowane, maluczko, a będziemy w rozterce, czy iść na mecz polo, czy też na zawody futballowe o mistrzostwo szkół średnich. Ten prąd sportu znalazł swe odzwierciadlenie i w modzie, która lansuje grube materiały, szorstkie, często w kratę. Oczywiście nie znaczy to, że należy iść na koncert Hubermana, czy na dancing, koniecznie w garniturze z takiego materiału. Można również pójść we fraku, smokingu, czy wizytowym garniturze, to nie będzie specjalnie raziło. Wprawdzie naszych dancingowców oglądają przy wejściach portierzy, ale oni zwracają uwagę tylko na specjalne przejaskrawienia; aby np. gość nie wjechał do lokalu na wrotkach, bo porysuje posadzkę, albo, aby zostawił narty w szatni, bo może stłuc żyrandole. Bo w samym stroju narciarskm, ma oczywiście w lokalu prawo obywatelstwa. To też bardzo często widzimy na dancingach panie, których suknie wieczorowe stanowią ostatni „wrzask" Patou czy Wortha, w towarzystwie mężczyzn, ubranych tak, jak gdyby za chwilę mieli, startować do Tour de France, albo wyruszyć na Szpicberg (oczywiście Orbisem).

Moda stała się Wielkim Demokratą; możemy sobie dzisiaj uszyć garnitur identyczny do noszonego przez księcia Walii, podziwianego wczoraj w kinie w dodatku Pata. W braku księcia Walii można zobaczyć księcia Gloucester na wyścigach w Ascot albo Clark Gable'a jako eleganckego uwodziciela. Wiemy za tym, co nosić, ale nie wiemy kiedy. Nasi panowie naśladują np. synów chmurnego Albionu i noszą parasole nawet podczas pięknej słonecznej pogody — nie zdając sobie sprawy, że jest to naśladownictwo nielogiczne i śmieszne. Wyjść z parasolem w słoneczny dzień można tylko wtedy, kiedy „Pim" przewiduje długotrwałe susze. Oczywiście ma się wówczas gwarancję rychłej gwałtownej ulewy, mogącej trwać, dopóki „Pim" nie zapowie deszczu. Wtedy parasole należy schować albo, w myśl Warszawskiej tradycji, wypożyczyć swatom. Swoją drogą, jakie to kolosalne szczęście dla nas, że tak miły naród jak Meksykanie, nie słyną z elegancji, bo wówczas możnaby zauważyć w kawiarni „Europejskiej" jakiegoś poczciwego człeczynę z kolekcją Coltów za pasem i z lassem niedbale przerzuconym przez ramię.

Tak. tak. Wiemy co, nie wiemy kiedy. Na temat kiedy... otóż koszule z przyszytymi kołnierzykami, nosi się wyłącznie do sportowych garniturów i w podróży. Nigdy do dwurzędowych garniturów. Te ostatnie tak chętnie noszone, prezentują się dobrze na mężczyznach wysokich. Nadają się na nie materiały kamgarnowe, granatowe, bronzowe — nigdy w t. zw. choinkę, najlepiej w pasy, szeroko rozstawione długie marynarki, szerokie w plecach i piersiach; szerokie klapy (i także kozerka) zawsze pod górę — są lekko owalne i mają wycięcie dość duże. Kieszenie francuskie, kamizelka zawsze jednorzędowa. Spodnie nieco węższe u dołu, albo nie mają wcale mankietów, albo na 5 cm. wysokie. Garnitury jednorzędowe, bardziej codzienne, robi się z szewiotów dość grubych, w kolorach i odcieniach rozmaitych, najchętniej szarych i chabrowych— są one miłe i wygodne w noszeniu i mężczyzna czuje się w nich doskonale zarówno w biurze jak i na poobiednim przypadkowym dancingu. Tu już nie obowiązują pasy. Jest kwestią indywidualnych upodobań, czy ktoś woli choinkę, czy jakiś inny mniej lub bardziej nikły deseń. Rogóżki są już passe. Garnitury jednorzędowe szewiotowe są jeszcze o tyle wygodniejsze od dwurzędowych, że łatwo je urozmaicić. Pullower stonowany z krawatem stanowić może bardzo eleganckie ożywienie spokojnego w barwach garnituru, natomiast dwurzędowa kamizelka, coraz częściej noszona, oraz biały sztywny wykładany kołnierz, szeroko rozcięty i biała chusteczka w kieszonce nadaje temu garniturowi bardziej oficjalny charakter. Angielskie kołnierze zapinane na klapki ustąpiły miejsca kołnierzom szeroko rozciętym.

Powyżej rzuciłem tylko szkic, jak powinien wyglądać garnitur dobrze ubranego pana, ale tylko całość daje pożądany efekt. Wiedzą o tem dobrze kobiety, które nawet dobierają kolor paznokci do koloru sukni, a barwę włosów do rodzaju posiadanego futra. To też jeśli widzimy jakąś kobietę, której piękną główkę zdobią trzy kolory włosów, wiemy że ma ona przynajmniej trzy lisy. Dlatego właśnie wraz z modą krzyżaków powiększyła się znacznie ilość kobiet rudych. Mężczyzna nie musi wprawdzie dobierać barwy włosów do garnituru, ale musi dbać o stosowną całość, dobierać kolory koszul, krawatów, chustek do koloru garnituru. Oczywiście nie mniej ważny jest odpowiedni dobór skarpetek, rękawiczek, kapelusza, palta i t. p. artykułów męskiego ekwipunku. Te wszystkie kwestie omówię w szeregu następnych artykułów. Okaże się w nich, że można być bardzo dobrze zawsze ubranym — bardzo małym kosztem.

Jeśli którąkolwiek z pań artykuł mój przekonał na tyle, że postanowiła zainteresować się garderobą swego towarzysza chętnie służę jej radą. Pamiętajcie jednak panie o jednym: że mężczyzna, który sam stara się być dobrze ubranym dba również o odpowiednio elegancki wygląd swej towarzyszki. W ten sposób jeśli będziemy o siebie nawzajem dbali, Warszawa, która ma już przydomek małego Paryża, otrzyma jeszcze nie mniej zaszczytny — małego Londynu. A za tym szanowne panie do dzieła.

MIGAWKI TANECZNE

Jest obecnie moda na konsolidację. W polityce i — jak się okazuje — w sztuce. Kto by w to uwierzył, że pp. Mieczyńska, Prusicka i Wysocka dadzą wspólny występ taneczny? Tyle razy się coprawda nawoływało do tej „union sacrée". I oto słowo stało się ciałem, (a raczej — trzema tuzinami ciał...). Zawarto sojusz. Coprawda, sojusze bywają przeważnie „zaczepno-odporne". Może tak było i tym razem? Miejmy nadzieję, że nie. Oby doprawdy w świecie tanecznym wreszcie zapanowała budująca zgoda, a zczezła raz na zawsze rujnująca niezgoda. Ale do tego trzeba iść dalej konsekwentnie w obranym kierunku. Chcemy na następnym występie — oby jak najszybciej! — ujrzeć w tym zgodnym szeregu również zespoły: Hryniewieckiej i Brattówny, (conajmniej tak samo zasłużony, jak tamte — srebrny medal na konkursie wiedeńskim to nie bagatela), nowy, a znakomicie się zapowiadający zespół Ruth Sorel i studium tańca klasycznego Zygmunta Dąbrowskiego. Należy także zaniechać dotychczasowej klikowej polityki organizacyjnej. Dopuszczać każdego uczciwie pracować pragnącego, nawet jeżeli lubi palnąć „verba veritatis" jednostkom bardziej ospałym i gnuśnym. Póki to nie nastąpi, trudno uwierzyć w skuteczność, a zwłaszcza długotrwałość tej z takim trudem skleconej zgody. Nasuwa się lęk, że ten pierwszy wspólny występ może być ostatnim... A była by to szkoda bardzo wielka!

Oto zaś krótki film całego programu...

Milena Lubiczówna — „Motyw ludowy". Barwny kostium. Bledszy taniec. Doskonała aparycja. Słabsza giętkość i taneczność.

Balet Wysockiej — „Mazurek" — kolorowe kostiumy, ładne dziewczynki, nic ciekawego.

Zespół Mieczyńskiej — „Walc". Znakomity układ Grokego. Duża kultura kompozycyjna. Piękne skoki, ładnie rysowane obroty. Wykonanie bez zarzutu.

Janina Smoszewska — „Boston". Prześliczna muzyka. Subtelne wykonanie. Ujmująca aparycja. Umiejętna stylizacja klasyczna układu. Owszem, owszem...

Irena Rosenówna — „Z wiatrem". Bardzo trudny taniec. Doskonały wstęp, pełen nęcących zapowiedzi, nie w całej pełni dotrzymanych. Układ początkowo świetny, dalej się wikła i plącze. Tak samo i wykonanie.

Paula Gobi — „W brazylijskim słońcu". Arcydziełko finezji w układzie i wykonaniu. Precyzja techniczna i kultura kompozycyjna niezrównana. Duża klasa tańca artystycznego, wyraźnie odcinająca się od reszty.

K. Janiakówna i Z. Lebedowiczówna— „Pieśń Broadway'u". Poprzednie kostiumy były o wiele korzystniejsze. Obecne dodają zbędnej perwersyjności. Niepotrzebne kreowanie na „damy" i „vampy" pary przemiłych i ślicznych „girlsiątek". Wykonanie sprawne i muzykalne.

Zespół Prusickiej — „Largo". Interesujące w konstrukcji. Sprawne w wykonaniu. Ale w ogóle „makabra". Trzeba z tym już skończyć!

Hanna Schwarzówna — „Pastorałka". Miły bukolizm taneczny. Idylliczny pląs, powabnie skomponowany i wykonany.

Balet Wysockiej — „Nimfy". Pięcioletni jubileusz tego tańca. Ileż już „roczników" go tańczyło! Oby tańczyło jeszcze 25! Nigdy nie zatraci swego uroku. Bodaj że i Wysocka już nigdy czegoś tak ładnego nie ułoży. Mogę oglądać z przyjemnością po parę razy dziennie. Nie powstydzi się tego żaden „music-hall" paryski (i korzystał z tego już, zresztą). Bajeczna jest, zwłaszcza, tu Krysia Janiakówna.

Irena Prusicka — „Robotnica". Znany już taniec o cennych zaletach. B. dobry.

Nata Lerska — „Dziewczynka z zapałkami". Echa „Niepotrzebnego dziecka". Pierwsze kroki obiecującego talentu.

Janina Łukaszewicz i Jan Kosek — „Walc". Duecik na modłę klasyczną, sprawnie wykonany. Doskonałe i bardzo efektowne zakończenie.

Zespół Mieczyńskiej — „Pieśń nad grobem". Na cmentarz z tym...!

Irena Prusicka — „Walc". Stylizowana groteska starowiedeńska, ładnie skomponowana i sprawnie wykonana.

Hanka Lebedowiczówna — „Walc akrobatyczny". Non plus ultra! Wszelkie superlatywy wydadzą się tu wyświechtanymi komunałami. Ludzki język nie jest w stanie odtworzyć czaru i uroku tego cudnego cacka akrobatycznego. Bis także boski!

Zespół Prusickiej — „Taniec romantyczny". Poprostu „Valse lente" Debussy w poetyckim i nieskalanym formalnie ujęciu tanecznym. Bardzo dodatnia pozycja.

S. Applówna, E. Lubelska i I. Rosenówna — „Allegro barbaro". Niezmiernie interesujący układ. Doskonałe wykonanie. Wysoce wartościowy taniec.

Hanna Schwarzówna — „Polonez". Olśniewający kostium. Taniec mniej wyraźny. Momenty ciekawe. Pewne przeróbki wskazane. Wykonanie czyste i staranne.

Balet Wysockiej — „Marsz weselny Kory". I po co „takie coś" temu zespołowi? Zostawić „makabry" specjalizującym się w tej dziedzinie. Tancerki są zbyt ładnie zbudowane, by je ubierać w habity i pokazywać jedynie twarze — mniej korzystne. Odstawić, czyli „wróć", jak się mówi w wojsku.

Paula Gobi — „Gavea". Znakomity taniec pod każdym względem. Inteligencja artystyczna i taneczność najwyższej miary. Można pokazać na całym świecie!

Irena Rosenówna — „Opętana". Taniec bez muzyki. Szczyt ekspresji tanecznej. Wielka kreacja „mimochoryjna". Brawo, bis... choć jakieś chamy chichotały na widowni....

Hanka Lebedowiczówna — „Walc". Bardzo ładny. Ale nic w porównaniu z tamtym...

Nata Lerska — „Tango". Na najlepszej drodze do sukcesów w przyszłości.

Danusia Chotkowska i Milena Lubiczówna — „Krakowiak". Śliczne! Chotkowska jest rewelacją! Najlepsza mimika całego wieczoru! Zachwycające zjawisko taneczne!

Janina Smoszewska — „Melodie ludowe". Ładnie, ale nic szczególnego.

Balet Wysockiej — „Taniec akrobatyczny". Pyszny rozgardiasz. Muzyka w kąt, rytm w kąt, ale ruch, życie, hopki, galopki, fiki-miki — czarujące i porywające.

Irena Prusicka — „Polka". Jak wyżej — walc.

Zespół Mieczyńskiej — „Oberek". Ani się umywa do „Tańca chłopskiego". Niezły.

Czekamy na wieczór następny... Będzie czy nie będzie? Załóżmy się...

Henryk Liński

BAJKA NIE-BAJKA

Dyrektor pewnej sceny
(Należy do kartelu)
Po swej „owocnej" pracy
Raz drzemał na fotelu...

✶

Pukanie go zbudziło,
Jak lew zaryczał groźny
I wrzasnął z całej siły:
— A, psiakrew! Gdzie jest woźny!?—

✶

W sezamu świętą bramę
Zuchwała ręka puka,
Dyrektor ujrzał damę...
— Nazwisko moje — Sztuka... —

✶

Dyrektor rzekł — w tej chwili
Już lica miał najgładsze
— Czy pani się nie myli,
Wszak pani jest w teatrze! —

✶

— Już byłam wszędzie w mieście,
Nim przyszłam tutaj, panie,
Czy biednej dasz niewieście
U siebie dziś mieszkanie?! —

✶

— Mieszkanie?... Hm, niestety,
Djabelnie trudna sprawa...
Ma pani toalety?
Toalet chce Warszawa! —

✶

— A z panią cóż ja zrobię?! —
Dyrektor stał się chmurny...
— Masz nędzny strój na sobie,
Tunikę i koturny... —

✶

— Gdy zrobię kontrakt z tobą
To pustki będą w kasie... —
I poszła sobie Sztuka
Siać rutkę na Parnasie!

Jerzy Gur.

MISHEL S. GREEN

W MIĘDZYNARODOWYM HOLLYWOOD

KORESPONDENCJA WŁASNA

Liczny zastęp aktorów obcych narodowości, zasymilowanych już na terenie Hollywood, jak np. Greta Garbo, Luiza Reiner, Charles Boyer, Simone Simon, Fred Bartholomew, Sonia Henie i wielu innych, powiększyła w ciągu ostatniego roku nowa armia cudzoziemców.

Każdy nowy aktor to business dla producenta... Nie ma bowiem gwiazdy, z urodzenia. Każde studio posiada zakontraktowanych kilku lub kilkunastu aktorów o cudzoziemskim akcencie, których w odpowiednim momencie lansuje, robiąc im szumną reklamę.

I tak, jak kiedyś, Samuel Goldwyn pierwszy dał możność wybicia się aktorom tej miary co Lili Damita, Ronald Colman, Anna Sten, Merle Oberon. tak dziś np. obok Gary Coopera wystąpi nowa gwiazda, pochodząca z Norwegii— Sigrid Gurie, której przyszłego powodzenia przewidzieć nie może nawet sam Goldwyn.



Znakomity Cecil de Mille udziela wskazówek Franciszce Gaal, w czasie nakręcania filmu p. t. „Piraci"

Cecil de Mille sprowadził dla „Paramount'u" z Wiednia, grającą dotychczas wyłącznie w komediach, Franciszkę Gaal, dając jej główną rolę w filmie osnutym na tle życia piratów. Gaal intensywnie pracuje pod kierunkiem znakomitego de Mille'a i przygotowuje się do nowej roli, która według wszelkiego prawdopodobieństwa otoczy ją aureolą nowej sławy.

Drugim odkryciem „Paramountu" jest argentyńczyk o francuskim nazwisku Georg Rigo, który wystąpi w następnym filmie Marleny Dietrich.



Franciszka Gaal w przerwach, podczas nagrywania zdjęć do filmu p. t. „Piraci", z zaciekawieniem przegląda zagraniczną prasę. Nasz korespondent uchwycił ją w momencie czytania „X Muzy".



Fragment z nakręcania filmu p. t. „Piraci" Na planie pierwszym Franciszka Gaal i Frederich March. Zdjęciami kieruje Cecil de Mille.

Tow. „Universal" sprowadziło osławioną w filmie francuskim Danielle Darrieux, zaś „Fox-Film" — aktorkę francuską Annabellę i angielską Grace Fields.

W „Columbii" oczekuje na możność pokazania się — węgierka Lulu Deste. Z Francji wraca do Warner Bros — Fernand Gravet.

Słyszałem nie dawno płyty nagrane przez aktorkę M. G. M. Millis Korgus znaną zresztą w Europie. Posiada ona znakomity głos, a wykonanie przez nią trudnych kaloraturowych partii jest zdumiewające. Talent ten należy uzupełnić wspaniałą figurą i czarującą powierzchownością, co prawdopodobnie będzie budzić również niemałą sensację.

Zapamiętanie wszystkich cudzoziemców jest wręcz niemożliwe — zbyt wielu ich tu jest. Sztuka filmowa iest jak widać międzynarodową.

Mishel S. Green



Frederich March—w głównej roli w filmie p .t. „Piraci". Swą karierę filmową zawdzięcza dziwnym zrządzeniom losu. Były urzędnik bankowy — w krótkim czasie zdobył sobie niezwykłą sławę i popularność.



Franciszko Gaal w filmie „Paramountu" p. t. „Piraci" od powodzenia, którego, zależy jej dalsza kariera filmowa w Hollywood.

✶

Znakomity wirtuoz Jasza Chejfec podpisał kontrakt z Samuelem Goldwynem. Na początek honorarium znakomitego muzyka wynosić będzie 20.000 dolarów tygodniowo.

LISTY LWOWSKIE

Dyr. Warnecki — jak dotąd — ma duże trudności z przyzwyczajeniem widzów lwowskich do nowego „kursu" w teatrze.

Trzeba — naturalnie przejść do porządku dziennego nad „Królem włóczęgów", gdyż widowisko to, melodyjne i efektowne, było raczej czemś przejściowym, niż prawdziwym otwarciem sezonu. Skłon w kierunku... kasy. To „duch czasu", tak być musi — niestety!...

Natomiast trzeba podziękować nowej dyrekcji za wystawienie ciekawej, bardzo niebanalnej sztuki Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej „Niebiescy zalotnicy". Sam dyr. Warnecki grał w niej swoją świetną rolę, znaną w Warszawie. Zbiegiem okoliczności widziałem w stolicy sztukę Pawlikowskiej. Ciekawe porównanie. We Lwowie wydobył z niej Warnecki więcej jeszcze niuansów, bo wzbogacił i swoją rolę i ogólną koncepcję reżyserską.

Wiele do życzenia pozostawia natomiast główna bohaterka sztuki. W Warszawie grała ją pięknie Maria Gorczyńska. Ile tu było kobiecości, ile mądrego spojrzenia w głąb duszy... We Lwowie — Brochwiczówna. Skąd? Dlaczego? Ta miła operetkowa gwiazdka ze stolicy nie ma przecież ani tyle techniki aktorskiej, ani podejścia któreby uprawniło ją do takiej roli. Płytkie, zdawkowe recytowanie, płytkie „sentymentalizowanie"... I nie mogło być inaczej... Brochwiczówna nie udźwignęła zadania nad siły, co było do przewidzenia, i co dla nikogo nie stanowiło niespodzianki.

Eksperyment ten dla Lwowa okazał się trochę nieprzyjemny. Lwów wydał największe polskie aktorki — Siemaszkową, Solską, Bednarzewską, Siennicką i inne, aż do Eichlerówny włącznie, które nauczyły pokolenia lwowskiej publiczności, czym jest sztuka aktorska. Brochwiczówna nie może dziedziczyć tej tradycji. Bardzo naiwnie dyr. Warnecki sądził, że przy kiepskim stanie głosu można we Lwowie na zawołanie z operetkowej „diseuse" stać się heroiną dramatyczną. Niechby Brochwiczówna spróbowała swoich dramatycznych możliwości w Warszawie... O ile miałaby na to odwagę.

F. Nowosad.

TEATR

TEATR „8.15". „CNOTLIWA ZUZANNA"

Dawno już Warszawa nie bawiła się tak serdecznie, nie śmiała się tak szczerze, nie oklaskiwała wykonawców tak żywiołowo, jak na wznowieniu jednej z modnych przed wojną operetek „Cnotliwa Zuzanna". Co za muzyka! Ile dowcipu w rytmach i rysunku melodii! Ile „szampańskiej pianki" w walcach, kankanach, czy poleczkach! No i libretto. Niema miejsc pustych. Od początku do końca uwaga widza utrzymana jest w napięciu zainteresowania i humoru.

Teatr „8.15" dał „Zuzannie" oprawę nieoczekiwanie świetną. Groteskowo ujęty schyłek secesji w akcie 1-ym z kapitalnymi typami, dał doskonałe tło do zazębień akcji, a purpurowy przepych wnętrza w „Moulin Rouge" w akcie II-im — stał się pewnego rodzaju sensacją i wykazał ile inwencji i pracy włożono w pogłębienie sceny. Superlatywami trzeba by mówić o kostiumach, żurnalowo dokładnych, a jakże efektownych. French-kankan przypominał najszczęśliwsze rozwiązania filmowe.

Stara gwardia naszej operetki miała w „Zuzannie" swój rzetelny tryumf. Redo w zielonym fraku „akademika", powitany huraganem braw, reprezentował grą, śpiewem i tańcem klasę jemu właściwą, a przez tyle lat niesłusznie zapominaną i lekceważoną. Kierownictwu teatru naprawdę należy się podziękowanie za ten renesans Redy zawsze młodego i pełnego hulaszczej werwy. Nieodrodnym synkiem tego papy był Zbyszek Rakowiecki — chluba młodego pokolenia naszej operetki. Ile radości życia, jakie szczere reakcje aktorskie! I pomyśleć, że przed kilku laty ten świetny wodewilista grywał w teatrze „8.30" nic nieznaczące rólki....

Do pokolenia dawnego zaliczyć trzeba Waltera, który w roli kelnera stworzył prawdziwą, wartościową kreację aktorską. Do tego koncertu komików dołączyć trzeba i Zofię Ordyńską w roli przenaiwnej matrony. Jej figlarne pieszczotki z mężem i synem, jej bezgraniczna łatwowierność i zdumienie w akcie III-cim wywoływały odruchowe oklaski. Tak samo, jak podwójne „wnętrze" psychiczne Faliszewskiego w przepełnionej dyskretnym, inteligentnym humorem w roli Pomarela.

Do całości, pełnej dyskretnej groteski wnieśli urok młodości — Czerska, jako żądny wrażeń podlotek przedwojenny i Liedtke, jako szykowny porucznik. Ten młody lekki amant wyrabia się z każdym dniem.

Prześlicznie wyglądała w wielkim kapeluszu z piórem Jula Kraszewska, a jej piosenka „Rosalie", oddana finezyjnie, powinna zyskać popularność.

Ciężar tradycji (Messalka, Orleńska, Niewiarowska) dźwigała p. Mary Gabrielli, jako bohaterka tytułowa, wyglądając czarująco w pomysłowo stylizowanych strojach. Najzagorzalszy przeciwnik musi jej przyznać, że zrehabilitowała się całkowicie w oczach stolicy po niezbyt szczęśliwym występie w „Słońcu Meksyku". W grze, śpiewie i tańcu podobała się ogólnie i w zupełności usprawiedliwiła wieści o swych sukcesach w poznańskiej operze.

Do całości dostroił się naprawdę zabawny Dąbrowski — jako „maślarz", oraz groteskowy w sylwetce Kielarski (komisarz policji).

Najdrobniejszy epizod zresztą był wyciągnięty do maksimum, a sceny zbiorowe tętniły życiem i humorem. Reżyser Zdzitowiecki święcił jeden z największych swoich tryumfów, a sukcesem tym dzielił się z znakomitym kapelmistrzem Philippem i wybornym dekoratorem Lipskim.

Choreografia Paplińskiego przyczyniła się walnie do powodzenia widowiska, a duet świetnego baletmistrza z uroczą Kołpikówną był, jak zwykle, przedmiotem gorących owacji.

TEATR KAMERALNY „WSPÓŁCZESNE" Gojawiczyńskiej

Popularność autorki „Dziewcząt z Nowolipek" zrobiła swoje: teatr Kameralny był przepełniony na pierwszej sztuce tej młodej, a już tak znanej pisarki „Współczesne" — to typowy utwór powieściopisarza, z jego błędami struktury, z nadmiarem szczegółów i t. d. Ale talent zwycięża wszystko. Sztuka interesuje, mimo nawet niezbyt szczęśliwej realizacji. Bo Grywińska, której inteligencję i pracowitość cenimy, za mało ma świeżości psychicznej do roli Janiny. Dopiero w scenach końcowych, po załamaniu się bohaterki, wydaje się Grywińska bliższa odtwarzanej postaci.

Nie udała się również rola Morskiej (postać doskonale przez autorkę przemyślana), Polakównie (tak dobrze przez Jaracza pokazanej w „Szkole żon") za ostro wypadł finał pierwszej odsłony, przebrutalizowanej w wybuchu spazmatycznym ulicznicy. Uroczo wypadła scenka z dzieckiem i epizod staruszków (p. Zamiłło i pan Ostrowski). Role męskie postawiono mocniej: Kochaniewicz doskonały (jak nigdy), a Strachocki inteligentny i umiarkowany.

W całym przedstawieniu najciekawiej aktorsko wypadła p. Kitajewiczówna. To indywidualny, ciekawy talent. Niech tylko ktoś czuwa nad jego rozwojem.

Teatrowi Kameralnemu należy się uznanie za udzielenie gościny Gojawiczyńskiej.

OSTATNIE CHWILE PLEBISCYTU

Ponieważ w ciągu sezonu letniego wielu teatromanów bawiło na urlopach, otrzymujemy liczne życzenia o przedłużenie plebiscytu. Nie zamykamy więc jeszcze plebiscytu tym nie mniej osoby pragnące uczestniczyć w głosowaniu muszą się spieszyć.

Jeszcze raz zwracamy uwagę, że należy składać głosy wyłącznie na artystki dramatyczne.

Gwiazdy operetki i rewii, jak podkreślaliśmy to niejednokrotnie, nie biorą udziału jako kandydatki. Będą miały swój plebiscyt po Nowym Roku.

Zbytecznym też jest nadsyłanie głosów listem poleconym jak ostatnio nadesłał p. Artur Bruss z ulicy Dzielnej 49/15 wystarczy zwykłym listem.

Dotychczas otrzymały głosów:

Maria Malicka — 1.028, Janina Biesiadecka — 396, Janina Romanówna — 387, Zofia Lindorfówna — 289, Leokadia Pancewicz-Leszczyńska — 289, Maria Gorczyńska — 254, Jadzia Andrzejewska — 253, Elżbieta Barszczewska — 189, Irena Eichlerówna — 184, Zofia Jaroszewska — 153, Pelagia Relewicz-Ziembińska — 113, Maria Modzelewska — 72, Halina Cieszkowska — 71, Karolina Lubieńska — 51, Roma Pawłowska-Jezierska — 44, Irena Grywińska — 26, Jadwiga Smosarska — 21, Krystyna Ankwicz — 20 i Mira Zimińska — 7.

Przypominamy, że głosy na ustalone kandydatki należy nadsyłać w dalszym ciągu p. a. Redakcji „X Muzy", Al. Jerozolimska 43. Pomiędzy Czytelników „X Muzy", biorących udział w głosowaniu zostaną rozlosowane następujące nagrody:

Zegarek firmy „Agfa”
Dwa aparaty fotograficzne „Baby „Browne” firmy „Kodak”.
Pióro wieczne firmy „Żak”.
Pióro wieczne marki „My Darling pen”.
50 bezpłatnych zabiegów kosmetycznych pod kier. prof. p. C. Sandler.
Wyroby kosmetyczno-perfumeryjne firm:
Academie Scientefique de Beauté, Paris.
„Bakley” w/m.
W. Falkiewicz, Poznań.
„Deva” w/m.
„Galanteria Wiedeńska” w/m.
„Gillot” w/m.
W. Kruszecki w/m.
Pinaud, Paris.
„Parivar” w/m.
„Ravis” w/m.
„Swit” lab. dr. J. Świtalskiej w/m.
Bilety bezpłatne do teatrów i kin warszawskich
oraz
Efektowne portrety najpopularniejszych „gwiazd” amerykańskich i europejskich.

KUPON PLEBISCYTOWY—Seria XI

IMIĘ I NAZWISKO GŁOSUJĄCEGO ....

MIEJSCOWOŚĆ ....

ADRES ....

ODDAJĘ GŁOS NA ....

PODPIS ....

„PION” PROSTUJE ŻYCIE TEATRALNE

Wiadomo, że „Pion" entuzjazmuje się zawsze wszystkim co... „miarodajne". W rymach częstochowskich podaje dowcipy złośliwe pod adresem prywatnych teatrów dramatycznych (Ateneum, Kameralnego, Malickiej). Ciekawe komu tam przeszkadza powodzenie kasowe scen nieoficjalnych, niesubwencjonowanych? — autor częstochowskich rymów nie podpisał się nazwiskiem, ukrywając się pod pseudonimem... Kim jednak jest niech zostawi lepiej w spokoju Jaracza, Adwentowicza, czy Malicką, którzy bez subwencji mniej schlebiają gawiedzi, niż niektórzy „oficjalni" dyrektorzy z subwencją. „Pion" chyba wie, że całe społeczeństwo myśli i czuje inaczej niż częstochowski poeta...

Ale „Pion" też nie jest samowystarczalny. Bez subwencyjnej transfuzji krwi zakończyłby swój żywot anemiczny, a zbyteczny. Złośliwa anemia to niebezpieczna choroba.

KOLOR I AKCJA W FILMIE „WŁADCZYNI PUSZCZY"

Warner Bros. obdarowało świat filmem dźwiękowym, stworzyło modę na filmy biograficzne, a teraz dokonało nowego dzieła: wyprodukowało film barwny nowym systemem, który za oceanem ochrzczono mianem „naturalized technicolor" (naturalny techniczny kolor).

Scenariusz nowego kolorowego filmu oparty jest na powieści Jamesa Olivera Curwooda „Kraj boga i kobieta", samemu jednak filmowi nadano bardziej sensacyjny tytuł: „Władczyni puszczy".

Ci liczni, którzy rozkoszowali się czytaniem tej powieści przeżyją teraz zupełnie coś nowego, oglądając ją na ekranie, gdyż kolory zdjęć są znacznie piękniejsze i naturalniejsze, niż w jakmikolwiek obrazie, dotychczas filmowanym. Reżyser i aktorzy wczuli się w ducha powieści, a typy przez nich odtwarzane to ludzie z krwi i kości.

Przejmujące sceny, jak wyrąb potężnych drzew, wykolejenie i strącenie pociągu w przepaść i utworzenie olbrzymiego zatoru, zagrażającego egzystencji bohaterki — przykuwają wzrok widza, każą mu podziwiać potęgę i piękno.

Kolorystyka nie dominuje w tym filmie, zaopatrzonym w znakomity scenariusz, lecz dzięki reżyserii Williama Keighley'a, który stworzył takie filmy, jak „G-Men" i „Książę i żebrak", zajmuje właściwe sobie miejsce jako doskonały szczegół techniczny, który dodaje naturalności tej opowieści filmowej, jak dodaje jej naturalności dźwięk.

DLA CIEBIE *pani*

Pani ma piękne futro, jedno, czy też kilka — i teraz, jaka ważna rzecz — dodatki! Pantofle, rękawiczki, szalik, torebka, a przede wszystkim — kapelusz!

O tym, że wszystkie te rzeczy powinny być w jednym tonie — to chyba wiedzą wszystkie panie. Pani naprzykład ma foki. Jasną jest rzeczą, że musi mieć do nich czarne pantofle, torebkę możliwie z tej samej skóry (np. boki lub lakier), czarne rękawiczki. Natomiast szalik i kapelusz mogą stanowić jakąś barwną plamę, naprzykład — zieloną. W ogóle zielony kolor pożądany jest, aby przerwać monotonię czarnej lub bronzowej całości. Poza tym bardzo jest w tym roku modny.

Jeżeli pani może sobie pozwolić na pewną ekscentryczność — ślicznie wyglądają do szarych breitschwanzów lub wszelkich czarnych futer i kostiumów zimowych — czerwone wężowe torebki i rękawiczki. Są bardzo efektowne, ogromnie noszone w tym roku.

Pani powinna pamiętać, że bardzo często opłaca się kupić rzecz droższą, bo przez to całość zyskuje na elegancji. Kapelusz, czy pantofle, są to niby „drobiazgi", ale tak ważne, że nie powinno się właśnie na nich oszczędzać. Rzeczy tanie prędko tracą fason, linię, brzydną, zmieniają kolor — droższe, tym samym solidniejsze, dłużej mogą być noszone, często przerobione jeszcze wyglądają jak nowe.

Zdarza się, że elegancka pani dochodzi do wniosku, że już za dużo wydała pieniędzy i akurat na tych rzeczach zechce oszczędzać. Jakże źle naogół na tym wychodzi — najczęściej kupuje po raz drugi.

I jeszcze jedna rzecz zasadnicza. Zanim pani zacznie kupować, powinna się dobrze zastanowić w czym jej do twarzy. Nie wolno kupować byle czego, dlatego tylko, że w magazynie powiedzą, że to „modne". Modne może nawet i jest, ale pani w tym nie jest wca-

Jeśli chodzi o kapelusze — przedstawiają się one dość różnie. Przeważnie trochę dziwacznie. Albo bardzo wysokie, albo z szerokimi skrzydłami — w każdym razie daleko im do prostoty sportowych, tak ogólnie przez panie lubianych kapelusików. Szczególnie kapelusze wieczorowe cechuje fantastyczność linii. Przeważnie z welouru, otoczone olbrzymimi woalkami, przy jasnych włosach, szczególnie efektownie się prezentują.

Ostatni „krzyk" mody — to kapelusze przybrane tym samym futrem, jakie pani ma na sobie. Wygląda to bardzo ładnie i stanowi dużą inowację — w dotychczasowych ozdobach kapeluszy.

le dobrze. A zawsze lepiej kupić coś w czem bezapelacyjnie wygląda się ładnie, niż owczym pędem nosić jakieś modne okropności. Bo trudno, ale niestety słowo „modne" nie idzie w parze z słowem „ładne". Jak naprzykład coraz częściej noszone teraz połączenie dwóch kolorów: zielonego i granatowego. Modne tak — ale ładne nie. Każda pani powinna sie starać, aby strój podkreślał jej indywidualność, a w każdym razie aby uwydatniał cechy korzystne twarzy i postaci. Nastąpi to tylko wtedy, gdy pani gruntownie przemyśli i zastanowi się nad tym, co i gdzie ma kupić. Pamiętajmy że: jeden zły szczegół, może zepsuć najładniejszą całość!



Elżbieta Barszczewska i Jerzy Pichelski w filmie „Kościuszko pod Racławicami". Fot. Libkow-film

Z SAL KONCERTOWYCH

Na inauguracyjnym koncercie Filharmonii Warszawskiej jako solista wystąpił Misza Elman, który odegrał koncert skrzypcowy d-dur Czajkowskiego. Trudności techniczne utworu Czajkowskiego zostały w interpretacji p. Elmana zbanalizowane. Ponad wartość efektów powstających przy ich pokonywaniu, skrzypek przekłada piękno tonu, zaiste niezwykłe. Porwało ono szczególnie słuchaczy, w wykonanych na bis, — nokturnie Chopina i utworze Sarasatego.

Pan Mierzejewski jako kapelmistrz miał duże pole do popisu, program orkiestrowy zawierał bowiem utwory różnych epok muzycznych.

Wykonanie „Leonory" Nr. 3 Beethovena stało na wysokim poziomie zarówno jak „Popołudnie fauna" Debussy'ego, z którego to utworu p. Mierzejewski wydobył całą jego impressjonistyczną obrazowość. Bardzo dobrze wykonany został „Don Juan" Straussa, utwór nader trudny, o niezmiernie szybkich i subtelnych zmianach instrumentacyjnych.

Koncert na orkiestrę Kondrackiego, może nieco przeładowany efektami perkusyjnemi, nie znalazł uznania u licznie zebranej publiczności.

Glaudan.

Z TEATRU KUTNOWSKIEGO

W Kutnie istnieje teatr Miłośników Sztuki pod dyrekcją Bohdana Kurmana, znanego organizatora imprez dobroczynnych na tutejszym gruncie. Teatr ten ma za sobą bogaty i piękny dorobek artystyczny. Grano w nim „Zemstę" Fredry, jak również kilkakrotnie powtarzano doskonałą rumuńską komedię „Zamieszaj". Ostatnio dano prapremierę francuskiego autora Gastona de Boudin „Porwanie". Zabawna ta komedia wystawiona na tle pięknych dekoracji była przyjęta gorąco. Na wyróżnienie zasłużyli pp. Alicja Rajewska, A. Kwiatkowska, M. Kozłowski, C. Matusiak i W. Staniszewski, wyreżyserował pomysłowo sztukę B. Kurman.



W przygotowaniu znajduje się „Maria Stuart" Słowackiego, „Złodziej" Bernsteina „Waterloo" i sztuka kutnowianina p. Wł. Marianowskiego „Romans z doktorem".

J. R.

Z braku miejsca — dalszy odcinek powieści p. t.

„Pierwsza miłość Thei Bianchi"

ukaże się w następnym numerze.

AKTORZY FILMOWI MYSLĄ O PRZYSZŁOŚCI

W Kalifornii zmarła znana ze swej odwagi aktorka Ruth Roland. Któż nie pamięta jej niebezpiecznych trücków.

W przeciwieństwie do wszystkich znakomitości filmowych ubiegłego dziesięciolecia, Ruth Roland zostawiła milionowy majątek. Wówczas, gdy inne wielkie gwiazdy, trwoniące zebrane pieniądze na ekstrawagancje, widywano następnie w charakterze statystów — za cenę 8 dolarów dziennie. Czuli się nieraz nawet szczęśliwi, że choć tego rodzaju zajęcie mogli otrzymać.

Gwiazdy i gwiazdorzy współcześni — trzeba przyznać — zmądrzeli... Prawie każde z nich posiada jakieś przedsiębiorstwo, przewidując, że profil obecnej znakomitości przestanie napewno kiedyś cieszyć się sympatią publiczności.

I tak Mary Pickford i Constance Bennet posiadają gabinety kosmetyczne. Eddie Cantor jest zainteresowany w jednym z większych amerykańskich antykwariatów. Mariam Hopkins jest właścicielką najpopularniejszej kawiarni. Bing Crosby ma stajnię wyścigową, Al Jolson „lansuje" młodego boksera (murzyna) zarabiającego 20 tysięcy dolarów za występ. Pat O'Brien prowadzi jakąś firmę handlową, a jego żona — pracownię sukien. Klara Bow i jej mąż, Rex Bell, otworzyli klub nocny.

Każdy zresztą jest gdzieś zainteresowany — na wszelki wypadek, gdy trzeba będzie poświęcić się już tylko temu drugiemu zajęciu...

O PŁYCIZNIE STROFEK KILKA

Gmach wspaniale urządzony,
W kasie forsy na miliony,
Raj synekur znakomity
A w programach: płyty, płyty!

★

Czy wieczorem, czy też rano
Czy to forte, czy też piano,
Rekord świata jest pobity:
Same płyty, płyty, płyty!

★

Dosyś! Dosyć! Każdy przyzna
Musi skończyć się płycizna,
Bo satyry miecz dobyty
Zmiażdży płyty, płyty, płyty!

Jerzy Gur.

WIELKI FILM WSPÓŁCZESNY NADCHODZĄ „DZIEWCZĘTA Z NOWOLIPEK"

Dziewczętom wielkiego miasta, ich życiu, ich walce o lepsze jutro, ich nie spełnionym pragnieniom, niewyżytym tęsknotom poświęciła swój utwór Pola Gojawiczyńska. Powieść ta, która jest zwierciadłem dzisiejszych czasów, dzięki swym wartościom uzyskała odznaczenie literackie — nagrodę m. stoł. Warszawy.

Jest rzeczą zrozumiałą, że na tak wybitną powieść musiało zwrócić uwagę kino. Powstanie pasjonujący film współczesny, film o dziewczętach wielkiego miasta. Do ról głównych w tym filmie zmobilizowano armię utalentowanych artystów.

W „Dziewczętach z Nowolipek" grają: Barszczewska, Andrzejewska, Wiszniewska, Jaraczówna, Ćwiklińska, Wysocka, Stępowski, Białoszczyński, Szalawski, Łoziński, Hnydziński, Grabowski i inni.

Kiepura traci POPULARNOŚĆ

Znakomity nasz śpiewak nie dorzucił do programu swego koncertu na F. O. N. ani jednej pieśni, ani jednej arii, której byśmy w jego wykonaniu już nie znali. Odśpiewanie „wojenki" jest to raczej wesoły sztubacki figiel bardzo sympatyczny, ale nie jest posunięciem artystycznym. Treść przedruku z „Kuriera Porannego", który zamieszczamy w niniejszym numerze, nie jest w stu procentach zgodna z naszym stanowiskiem; nie snobizujemy i nie zwalczamy arii z oper włoskich, bo ta walka z wiatrakami pachnie dziecinadą. Nie rozdzieramy też szat nad pieśnią Marczewskiego. Ale ambicja pana Kiepury powinna skłonić go do wyjścia poza śmieszny szablon programów koncertowych, przeznaczonych nietylko dla tłumu, ale i dla ludzi muzycznie wykształconych. Pan Kiepura uważa jednak publiczność warszawską za mniej muzykalną niż rzecz się ma naprawdę. Napewno przy głośnikach radiowych słuchano tego wieczora i pieśni Szymanowskiego z Filharmonii w kulturalnej interpretacji Ewy Bandrowskiej, nie przerzucając się na Warszawę II-gą, skąd po raz X-ty brzmiała aria z 1-go aktu „Tosci" w wykonaniu modnego dziś gwiazdora.

Zresztą, nawet dla przeciętnych słuchaczy monotonia koncertów Kiepury jest już niebezpieczna. I oni chcieliby zamiast „Rigoletta", „Turandota" usłyszeć coś nowego.

Jeszcze takie dwa koncerty a takie „odkrycia Ameryki" jak to, że najlepszą gwarancją niepodległości jest silna armia, lub „piosenka angielska" czy „francuska", a nawet conferansierka tycząca własnego pochodzenia (chłopak z Sosnowca, tym razem był chłopcem z ludu) — przestaną być atrakcją. Przytym Jarossy jest lepszym conferancierem niż Kiepura. Szafowanie zaś na pierwszej lepszej wieczorynce głębokimi patriotycznymi hasłami i tak bardzo już „popularnym" ujęciem wielu problemów i zagadnień społecznych, jakby w przekonaniu, że wszyscy zebrani na widowni są pół-inteligentami — jest lekką przesadą ze strony śpiewaka. Ta efrontezja zresztą jest już nudna i przestała bawić. Trzeba wymyśleć coś nowego! Ubóstwo programu skłania nas do myślenia, że część widzów rzeczywiście zakupiła bilety nie ze względu na występ pana Kiepury, ale ze względu na.... F. O. N. To była wielka prawdziwa atrakcja. Większa niż — jeszcze raz „Rigoletto".

★

Jest jeszcze sprawa druga...

W dniu poprzedzającym występ Jan Kiepura przyjął dziennikarzy stołecznych, aby udzielić wywiadu. Jeden z nich — Zygmunt Mycielski opisuje swe wrażenia z omawianego przyjęcia w sposób następujący:

Cieszę się, że p. Kiepura porywa tłumy Rigolettem, Trubadurem, Turandotem, Cyganerią, Toscą, Manon i tą przepiękną Carmen Bizeta. To ma Ameryka, a i my go może usłyszymy, — może, może, w Operze Warszawskiej. Pomimo to jednak nieśmiało wtrąciłem pytanie o wielki program klasyczny z Mozartem, Gluckiem, Haendlem i Bachem. Bo, ostatecznie, oni też pisali arie, i to nienajgorsze.

Usłyszałem kawałeczek zdania: „nie leży mi...", co ma znaczyć, że ten repertuar gdzieś nie leży. Po namyśle doszedłem do przekonania, że ponieważ ten repertuar leży na pewno w skali wielkiego głosu p. Kiepury, więc widocznie nie leży mu w sercu, ani w upodobaniu? Nie leży na linii artystycznych dążeń, gustów i możliwości mistrza Jana. I to mnie zmartwiło. Bo właściciel tego głosu i popularności, mógłby niejedno z wielkiej sztuki przemycić. A wtedy, służąc nadal sobie, służyłby także i muzyce.

Może zawisły w powietrzu moje niewymówione pytania, bo nagle się pan Kiepura zapalił. Zupełnie niespodziewanie, oświadczając, że z Szymanowskim wszyscy przesadzają. Więc nareszcie jest mowa o sztuce!

Ale p. Kiepura aż powstał i podniósł głos. To były oficjalne enuncjacje. Padło na nas milczenie. P. Kiepura nawet słyszeć nie może zestawienia: Chopin — Szymanowski z pominięciem Moniuszki. To ma być narodowa niewdzięczność, wobec autora „Halki". Za jedną arię z tej opery odda p. Kiepura całą twórczość Szymanowskiego. Oświadcza to prasie ostro, potem się trochę niby cofa, mitygowany, przyznaje nawet, że Szymanowski jest muzykiem, że słyszał „tego Rogera". Nie pytam co jeszcze słyszał i milczę, słuchając dalej, z obowiązku dziennikarskiego.

Każdy lubi co chce. Ale p. Kiepura oświadczył równie oficjalnie z estrady, że piękną jest pieśń Marczyńskiego „Na ust koralu".

Tu już trzeba precyzować. Słuchają go rzesze, dla nich śpiewa. Twierdzę, że takimi enuncjacjami p. Kiepura bałamuci i wykrzywia pojęcia estetyczne tych rzesz, w niego wpatrzonych.

Wielu wielkich wirtuozów wyśpiewywało lub wygrywało ohydne i tandetne programy. Ale każdy z nich, nawet Heifetz, nawet Caruso, okupywali to przynajmniej kilku arcydziełami z wielkiej literatury klasycznej czy współczesnej.

Pan Kiepura wie chyba, że „Na ust koralu" jest artystycznie ohydną szmirą. Jeżeli tę piosenkę śpiewa, to niech to będzie ustępstwem. Takie rzeczy bywają oklaskiwane, wiemy to wszyscy, niestety. Ale chodzi o hierarchię, o godność i szacunek. Muzyka nie jest businessem i nigdy nie była. Mozart, Bach i Debussy nie wwozili kapitałów, a jednak mieli jakąś wartość. Myślę, że gdyby p. Kiepura lubił czytywać sobie do poduszki pieśni Szuberta, Schumanna, Brahmsa i Wolffa, to by może potem przeszedł na klasyków i doszedł wreszcie do współczesnych. A wtedy śpiewałby inne programy trochę inaczej i wynieślibyśmy go pierwsi na rękach, zatwardziali grzesznicy.

W innych krajach wszystko ma już swoje ustalone miejsce. Jest też tam owo tłumne, gwarne i entuzjastyczne miejsce dla obsypywanego złotem Jana Kiepury. Nie pisałbym tam tyle. Ale u nas jest jeszcze zamieszanie w miejscach poświęcanych sztuce. Dlatego piszę, twierdząc, że p. Kiepura służy muzie nieładnej, nieraz wulgarnej, często muzie najzwyklejszej i najbanalniejszej, muzie pochodzenia włoskiego, którą atramentem wykarmił Puccini i z którego resztki bywają jeszcze gorsze."

— — — — — — — —

Szanujemy entuzjazm pana Kiepury dla Moniuszki i sami entuzjazmujemy się niedocenionym twórcą, najpiękniejszych oper polskich, ale pan Kiepura nie wydaje nam się być powołany do sądów o twórczości Karola Szymanowskiego, nad którego świeżą jeszcze mogiłą nie wolno wygłaszać demagogicznych (z punktu artystycznego) pseudo-haseł.

L. B.

WIDOWISKO któremu trudno dać NAZWISKO

Scena przedstawia poczekalnię szpitala. Otyły portier w liberii ze świecącymi się guzikami z całej siły przytrzymuje drzwi wejściowe, napierane z zewnątrz przez rozkrzyczany tłum, pragnący dostać się do środka.

PORTIER
(sapiąc jak miech kowalski)

Człek doprawdy łeb już traci,
Uff... nie mogę złapać tchu,
Różni chorzy i wariaci
Całą kupą walą tu!

*

Do cholery! Któż tak pcha się?
Komu pilno — radę dam:
Niech się leczy w chorej kasie,
Nie zawraca głowy nam!

(Gwar i hałas za drzwiami rośnie z każdą chwilą).

GŁOS I

Nie chce puścić! Widzisz gbura!
Ja jestem literatura
Chora na akademię!

PORTIER

Uremię czy anemię —
Nie miejsce tu na epidemię!
Proszę stąd odejść i raźniej
Na oddział chorób zakaźnych!

GŁOS II

A to cham! Drzwi mi zamyka!
Ja jestem polska muzyka,
Walczę z gruźlicą i nędzą,
Czy stąd mnie także przepędzą!

GŁOS III

Siostrzyczko ma kochana,
Jam poezja — sponiewierana,
Grafomanki i grafomani,
Każdy kaleczy i rani!

PORTIER

Ależ tu urząd państwowy — ?!

TŁUM
(chórem)

Jakiś pacjent przybył nowy...

Drzwi otwierają się. Wkracza dziwny orszak. Sanitariusze niosą na noszach uśpioną młodą FILMIĘ. Za noszami idzie patron muz APOLLO. Pochód kieruje się ku drzwiom, na których widnieje napis: sala operacyjna. Sanitariusze i nosze z uśpioną Filmią nikną za drzwiami sali Apollo otoczony przez tłum pozostaje na poczekalni.

TŁUM
(zbity w masę)

— Biało wszędzie,
Czysto wszędzie,
Co to będzie,
Co to będzie? —

APOLLO
(zwraca się w kierunku drzwi)

— Najmłodsze. drogie dziecię
Jeszcze mi zamordujecie! —

I GŁOS Z TŁUMU

Uspokój się, Apollinie,
Nie zrobią krzywdy dziecinie!

APOLLO
(do tłumu)

Słyszę jednakże jęki
Filmii kochanej maleńkiej...
Zrozumcie, kochani moi,
Jak mnie to niepokoi...

PORTIER

Nie zaszkodzi, wierzę święcie'
Tu i owdzie małe cięcie...

Nagle drzwi sali operacyjnej otwierają się i wychodzi chirurg w białym fartuchu.

CHIRURG

Chora wszystko wytrzymała,
Operacja się udała!
Apollinie, oto ona,
Otwórz serce i ramiona!

We drzwiach zjawia się widmowo blada postać Filmii.

APOLLO
(przerażony)

Przez te wasze rękoczyny
Cień pozostał z mej dzieciny,

Była piękna, zdrowa, młoda
Bił z niej urok i uroda,

Dziś pocięta, pokrajana,
Cała zmaltretowana!

Ni kobieta, ni mężczyzna,
Kto się dziś na tym wyzna!

Za to, co stało tu się
Pioruny ześlij, Zeusie!!

Rozlega się huk piorunu. Tłum przerażony rozpierzcha się. Ciemności zakrywają scenę.

K u r t y n a.

Jerzy Gur

SCYPION AFRYKAŃSKI

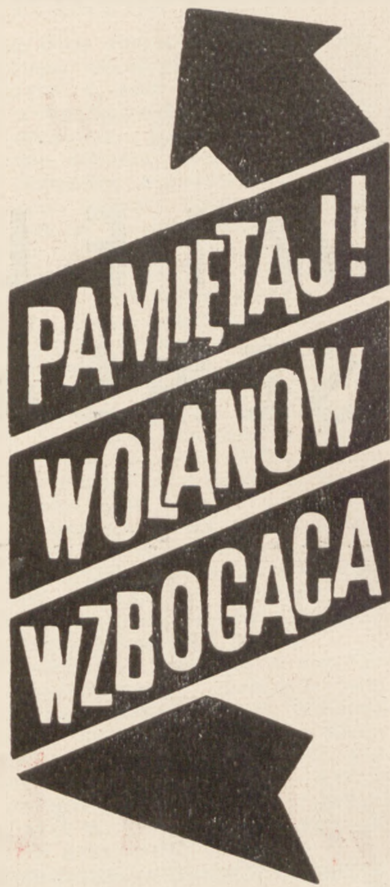
Realizatorzy „Scypiona Afrykańskiego" postawili sobie za zadanie przedstawienie na ekranie potęgi starożytnej Romy oraz zdarzeń i momentów, które zadecydowały wówczas o supremacji Wiecznego Miasta nad ludami starożytności. Praca bardzo trudna, jeśli zważymy, że ambicją twórców „Scypiona" było z jednej strony przedstawienie z historyczną dokładnością wypadków, które doprowadziły do wielkiej bitwy narodów pod Zamą, z drugiej zaś — pokazanie dramatycznych perypetii bohaterów akcji osobistej: pięknych kobiet starożytności — Velii i Sofonisby, oraz ich oblubieńców — Massynissy i Laeliusa.

Scypion, Hannibal, Fabius Cunctator, Laelius, Sofonisba... ukazują się przed nami tacy, jak widzieli ich Tytus Liwiusz, Plutarch i Kornelius Nepos. Bohaterowie starożytności ukazują się przed nami jako postacie z krwi i kości, ludzie z wszelkimi ich namiętnościami... Każda scena „Scypiona Afrykańskiego" pulsuje fibrem życia i jest pełna dynamiki. Film „Scypion Afrykański" odtwarza poza tym wielki pojedynek między dwoma tytanami — Hannibalem a Scypionem — przedstawicielami dwóch narodów, dwóch różnych mentalności. Bój między Rzymem a Kartaginą jest jednocześnie bojem cywilizacji z barbarzyństwem, kultury z ciemnotą...

Z jednej strony staje do walki Rzym republikański, wierzący w swe szczytne posłannictwo, przekazane przez Romulusa, syna Marsa, z drugiej zaś — Kartagina, zdobywcza nie uznająca kompromisów, dążąca do zagarnięcia co raz większych połaci ziemi. Z jednej strony — Rzym, naród młody, stojący u progu świetności, z drugiej — Kartagina — plutokratyczna potęga trzesąca posadami świata. Jest to walka między żołnierzem a kupcem, między idealistami a materialistami...

Jak długo filmowano „Scypiona Afrykańskiego"? Same zdjęcia bitwy pod Zamą trwały trzy miesiące; dwa miesiące trwały zdjęcia w obozach Scypiona i Hannibala; dwa miesiące kręcone były sceny w obozie Syfaxa i pałacu królewskim w Syrcie...

W scenach tych brały udział tysiące statystów. To kosztowało miliony.



Wielki triumf „KRÓLOWEJ WIKTORII" na scenach i ekranach całego świata

Do niedawna jeszcze uważano za mocno niewłaściwe ukazywanie filmów historycznych, dotyczących osób potomkowie których jeszcze panują, lub nawet tylko odgrywają wybitną rolę w jakimś państwie.

I dopiero książę Windsoru — w okresie swego krótkiego panowania jako Edward VIII — odstąpił od tradycji i zezwolił na ukazanie na scenie i ekranie utworów z życia jego babki — królowej Wiktorii. Decyzja ta została szybko zrealizowana. W szybkim czasie zainscenizowano sztukę wg. powieści Lorenca Gusmana p. t. „Wiktoria Regina" i w zawrotnym tempie, w okresie jednego zaledwie roku, przeszła ona wszystkie sceny angielskie nie wyłączając nawet Dublina, gdzie ogólne nastroje są raczej nie — monarchistyczne.

W ślad za sceną poszedł film. Jedna z większych wytwórni amerykańskich R. K. O. nakręciła obecnie potężny obraz przedstawiający życie królowej Wiktorii od lat najmłodszych aż do śmierci. Wprawdzie, dawno już niemiecka aktorka Jenny Jugo była bohaterką filmu „Dziewczęce lata królowej", do którego jako temat posłużyła historia o królowej Wiktorii, obraz ten nie posiadał ścisłości historycznej.

Pierwszym filmem nakręconym ściśle wg. danych rzeczywistych z epoki wiktoriańskiej jest film „Królowa Wiktoria". Scenariusz jego obejmuje wszystkie szczegóły związane z życiem królowej, które oddane zostały z drobiazgową dokładnością.

Do roli królowej Wiktorii zaangażowano młodą, niezwykle utalentowaną angielską aktorkę Annę Niegle, obdarzoną dużą inteligencją. Triumf filmu „Królowa Wiktoria" to triumf przede wszystkim Anny Niegle, która w postać tę włożyła maksimum dobrej woli i wysiłku artystycznego.

Rolę Alberta, księcia-małżonka, odegrał znakomicie aktor europejski Adolf Wohlbrück — na terenie Hollywood przekształcony na „Anton Wolbrok" (ma to brzmieć bardziej po angielsku!).

Strona reżyserska filmu — stoi na najwyższym poziomie.

Dzięki „Królowej Wiktorii" jesteśmy bogatsi o jedno więcej arcydzieło filmowe.

CZAPLICKI i „WAŃKA"

Jerzy Czaplicki, żegnając wraz z Lodą Halamą Warszawę przed wyjazdem do Ameryki, reklamował ten wspólny koncert dwojga znakomitych i lubianych artystów efektownym hasłem „Z czym jedziemy do Ameryki". Życząc powodzenia świetnemu barytoniście i znakomitej tancerce, należy jednak zapytać o jedno: „Czy pan Czaplicki czasami nie jedzie z — „Wańką"? Bo właśnie tę rosyjską piosenkę, popularną wśród oficerów i szansonistek przedwojennych, polski reprezentacyjny baryton śpiewał nie dawno na scenie teatru Wielkiego. Na scenie polskiej — głównej scenie stolicy Rzeczypospolitej, gdzie nawet za czasów niewoli rosyjskiej nie ośmielono by się śpiewać „Wańki".

Co innego, gdy chodzi o pieśń Greczaninowa... Jak pieśni niemieckie, włoskie i hiszpańskie, śpiewał ją — słusznie — p. Czaplicki w oryginale, ale „Wańkę", „Czubczika" i „Oczy czornyja" pozostawmy lepiej p. Nadieżdie Skublin-Plewickoj.

TO I OWO

W Hollywood bawi obecnie syn Mussoliniego, 21-letni Benito-Wittorio, który kształci się pod kierunkiem Charle Roche'a, w sztuce „robienia filmów". Mussolini pragnie bowiem zorganizować włoski przemysł filmowy na wzór amerykańskiego. Gwiazdy w Hollywood prześcigają się nawzajem w zapraszaniu do siebie młodzieńca.

*

Jean Akker, była żona nieżyjącego już Rudolfa Valentino, wyszła powtórnie zamąż po jedenastoletniej przerwie. W środowisku amerykańskich aktorów filmowych stanowi to niebywały dotychczas rekord.

*

„Love Under Fire" — oto tytuł nowego filmu czarującej Loretty Young. Akcja tego filmu odtwarza najsłynniejszą kradzież najwspanialszej kolekcji brylantów, jaka wydarzyła się w ciągu ostatnich paru miesięcy w jednym z państw Europy. Lorecie Young partneruje Don Ameche.

*

Grace Fields, najsłynniejsza kobieta-komik kontynentu, zwana „Chaplinem w spódnicy", przybyła w ostatnich dniach do Hollywood w związku ze zdjęciami do filmu dla wytwórni „20-th Century-Fox". Grace Fields posiada największą „vis-comica", jaką miała kiedykolwiek kobieta i każdy jej występ przed mikrofonem „B. B. C." w Londynie był płatny po 50 dolarów za słowo.

REDAKTOR przyjmuje interesantów codz. 17 — 19. Administracja czynna codziennie 10—14 i 16—19

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 43 (parter) tel. 810-81.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 milim. szerokości jednej szpalty (układ 5-cio szpaltowy) w tekście 40 gr., za tekstem 30 gr. Ogłoszenia drobne 15 gr. za wyraz. dwukolor. 50% drożej.

Prenumerata: rocznie zł. 7.20, 1/2 rocznie 3.60, kwart. 1.80
Prenumeratę przyjmują wszystkie oddziały P.K.O. Konto czekowe Nr. 11.840 i oddziały pocztowe Konto rozrachunkowe, Warszawa I. Nr. 226.

Redaktor naczelny WIESŁAW BOŃCZA-TOMASZEWSKI — Wydawcy JÓZEF KISELHOF i ZENON BERMAN — Kierownik wydawnictwa: EMMI GOLDFLUS
Druk. Wydawnicza, Warszawa, Kacza 15, tel. 603-46.